

Ostatnie miesiące wojny

Zanim przejdę do najnowszej historii naszej wsi, chcę czytelnikom przedstawić sytuację jej niemieckich mieszkańców w ostatnich dniach wojny. A była to sytuacja nie do pozazdroszczenia. W tym czasie w Staniszowie przebywały już tylko matki z dziećmi, starcy, inwalidzi oraz administracja, wśród której dominowali nazistowscy funkcjonariusze partyjni. Przebywać tu mogli tylko ci zdrowi mężczyźni, których praca niezbędna była dla potrzeb III Rzeszy, lub dla zapewnienia porządku i posłuszeństwa.

W ostatnich miesiącach wojny szkoła była zamknięta a wszelkie organizacje społeczne miały zakaz prowadzenia działalności. Obostrzenia objęły także funkcjonowanie kościoła. Pastor z Rybnicy wspomina, że duchowni otrzymali ściśle instrukcje, nawet w kwestii czytania ewangelii. Nie wolno było także urządzać uroczystych pochówków poległych żołnierzy niemieckich, lecz jak najskromniejsze. Wszystko to z obawy by rozgoryczeni obywatele niezwykniętej III Rzeszy, przy takiej okazji nie okazali niesubordynacji. Wielu Niemców długo miało cichą nadzieję, że front zatrzyma się na przedwojennych granicach III Rzeszy. Przede wszystkim królowała niepewność i obawa o swój los.



**Widok centrum Stanisławowa. Browar „Haus Hanecke” – nr 69. Dziś tzw. „Pekin”.
Z boku komin browaru. Kartka pocztowa z lat 30 – tych. 1826-to numer pocztówki.**

W takiej to atmosferze, 15.02.1945 r. wojskowe władze niemieckie wydały rozkaz ewakuacji ludności wsi z natychmiastowym jej wykonaniem.

Dobytek już ładowano na furmanki z zamiarem opuszczenia wioski, gdy w ostatniej chwili nakaz odwołano. Trudno opisać radość ludzi, obawiających się o los swoich gospodarstw. To szczęście nie trwało jednak długo. Wkrótce, pewnej niedzieli (25.02.1945 r.) zarządzono, że matki z dziećmi zostaną, ze względów bezpieczeństwa, przesiedlone na drugą stronę Karkonoszy (Sudetenland – dziś Czechy, wówczas Niemcy). W związku z sytuacją, tego samego dnia confirmowano młodzież, która normalnie miała w późniejszym terminie uczestniczyć w tej ceremonii. Confirmacja to u luteran odpowiednik pierwszej komunii i bierzmowania jednocześnie, nie mający jednak rangi sakramentu. Kronikarz nie podaje, czy przesiedlenie doszło do skutku, być może w ogólnie panującym chaosie nie znaleziono możliwości przerwania w lutym, przez góry takiej ilości ludzi, bo przecież nie dotyczyło to tylko Staniszowa.



Karczma i hotel „Zur Prudelberg” w Stanisławie – nr 58. Po prawej masarnia Wilhelma Schöp's'a. Późniejsza restauracja „Szarotka”. Lata 40-te.

W tym czasie przez wieś ciągnęły kolumny uciekinierów z obszarów bezpośrednio zagrożonych działaniami wojennymi. Transporty napływały kolejną na dworzec Jelenia Góra Zachodnia, gdzie czekały na udrożnienie linii do dzisiejszych Czech, lub przez dzisiejszą granicę, własnymi siłami przemieszczały się dalej, na zachód. I nie chodziło tu tylko o ludzi. Wywożono przecież wszelkie dobra, w tym znakomitą część tych zrabowanych na wschodzie, ale także archiwa i urzędy, które wcześniej z powodu bombardowania Niemiec przez aliantów ulokowano właśnie tu, w górach.

Gdzieś w tym czasie do ośrodka doświadczalnego, który mieścił się w zabudowaniach, które my znamy jako PGR, a gdzie obecnie jest „Pałac Na Wodzie” przybył transport 200 owiec, z zamysłem wysłania ich w odpowiednim momencie na zachód. Wieś musiała zakwaterować i wyżywić także Węgrów, którzy od października przebywali na szkoleniu w Namysłowie a teraz zostali przeniesieni tu. Byli to rekruci, wierni sojusznicy Niemiec, przeznaczeni do wykorzystania w czekających jeszcze III Rzeszę walkach.

Od czasu, gdy od strony Wlenia dały się słyszeć odgłosy toczonych się walk, pochód uciekinierów przemieszczających się przez Staniszów nie miał końca. Ci przynosili wieści, od których włos jeżył się na głowie. Wśród tych nowin były i te prawdziwe, jak i wymyślone, bądź wyolbrzymione przez czysto zwierzęcy strach. Faktem jest, że Rosjanie dopuścili się na terenach Niemiec wielu zbrodni. Nie piszę tego jednak by kogokolwiek oskarżać, czy bronić. Chodzi mi o to, by oddać atmosferę panującą wśród ludności miejscowej na tych terenach w oczekiwaniu na „wyzwolenie”. Używanie słowa „wyzwolenie”, przy opisywaniu działań wojennych na Dolnym Śląsku uważam za nieporozumienie. Oczywiście, że wojska polskie i rosyjskie wyzwoliły ludzi przymusowo zatrudnionych w gospodarstwach rolnych, czy zakładach pracy. Nie można jednak tego słowa używać w stosunku do regionu, czy też jego ówczesnych mieszkańców.



**Staniszów. Zdjęcie lotnicze z 1929 r. W lewym, górnym rogu obelisk Bismarck'a.
Z prawej strony m. in. szkoła i restauracja-hotel „Zur Brauerei” (nr 68).**

W każdym razie, tuż przed końcem wojny, zarządzeniem sołtysa (burgemeister) wszyscy mieszkańcy wsi zebrali się w reprezentacyjnej sali hotelu przy browarze (nr 68). Przede wszystkim chodziło o zachowanie spokoju i podporządkowanie się zarządzeniom, które miały nastąpić. W Staniszowie nie prowadzono żadnych walk, choć mam wiarygodną informację o zrzuconiu dwóch bomb lotniczych na wieś, lub raczej w jej okolicę. Mianowicie, zaraz na początku maja, tuż po zebraniu mieszkańców, które jak zwykle odbywało się w sali browaru, gdy mieszkańcy wylegli na plac w centrum wsi, usłyszano warkot nadlatującego od strony gór samolotu. Prawdopodobnie zdezorientowany pilot, widząc duże zgromadzenie Niemców otworzył luk bombowy i wypuścił dwie nieduże bomby. Zrobił to jednak w ostatniej chwili i bomby spadły poza obszar zabudowań, jedna na łące, w okolicy budynku nr 50 a druga gdzieś dalej w lesie.



8 maja, około północy nad Jelenią Górą wystrzeliły w niebo race świetlne. Niedługo potem wszystko ucichło. Mogło to oznaczać tylko jedno. Zawieszenie broni. Jak się później okazało, tak świętowano koniec wojny.

Pierwszy patrol konny żołnierzy radzieckich pojawił się we wsi 9 maja, po południu. Niedługo po nich przyjechali inni, rekwirując konie i zaprzęgi konne. Pojawiły się także pierwsze obwieszczenia w języku niemieckim, skierowane do ludności miejscowej. Apelowano w nich o zachowanie spokoju i wykonywanie swoich dotychczasowych obowiązków.

Pierwszą próbę deportacji ludności niemieckiej podjęto już w połowie 1945 r.

Nie powiodła się ona, gdyż wiele osób uciekło z konwoju, który zmierzał ze wsi w kierunku Cieplic.

Wkrótce okazało się, że wszyscy przewidziani do wysiedlenia z powrotem są w domach. Tak minęła jesień i zima 1945 roku.

Wojsko w tym czasie oczywiście rekwirowało na wsiach wszystko, co potrzebne było do prawidłowego funkcjonowania nowej administracji. Wielu Niemców posiadało w tym czasie zaświadczenia, wystawione przez polskie, czy rosyjskie władze wojskowe, które gwarantowały im prawo do dalszego pozostawania na tych terenach, ze względu na pracę którą wykonywali. Chodziło, przede wszystkim o ludzi zatrudnionych w zakładach produkujących na potrzeby wojska i ludności, zwłaszcza zaś wytwarzających żywność. Nadeszła jednak wiosna 1946 roku i pod koniec kwietnia oraz w maju przygotowano pierwszy transport wysiedleńców. Odszedł on 26.05.1946 r. Te akcje powtarzano aż do września 1947 r., kiedy to ze Staniszowa wywieziono ostatnich, niemieckich mieszkańców.



Dom wypoczynkowy – „Villa Elisabeth” oferująca ok. 40 miejsc noclegowych.. Staniszów nr 111. Późniejszy dom wczasów dziecięcych. Dziś w ruinie. Widokówka – wczesne lata 20 – te.

Okres powojenny.

Zanim jednak to się stało, już od połowy roku 1945 intensywnie pracowano nad tym, by życie na nowym miejscu możliwie szybko zorganizować. Każda miejscowość, także Staniszków, miała swojego wojskowego komendanta. Trzeba zaznaczyć, że wieś nie nazywała się jeszcze wtedy tak jak dziś. Napływali osadnicy wojskowi, którzy mieli pierwszeństwo w wyborze i przejmowaniu gospodarstw, stanowili także pierwszą a często jedyną władzę. Wśród żołnierzy były także kobiety, choćby te z batalionu „Emilii Plater”, w większości frontowe łączniczki. Chyba wtedy zrodził się pomysł, by wieś nazwać - Łącznikowo. Tej nazwy używano jeszcze we wrześniu 1947 r. Trudno dziś dociec kiedy została zmieniona, ale myślę, że jeszcze tego samego lub na początku 1948 roku. Kobiety, żołnierki pozakładały tu rodziny, pozajmowały gospodarstwa i jeszcze długo potem opowiadano przy piwie, że był czas, gdy „baby rządziły wsią”.



Fotografia z mojego rodzinnego albumu. Rok 1948. Na ulicy, naprzeciw domu nr 56 stoją od lewej; Jan, Amalia, Bronisława, i Wanda Nowak. Moją babcie, Bronisławę przesiedlono z terenów dzisiejszej Ukrainy w 1947 r. Moja mama, Wanda Hachulska (pierwsza z prawej). Z tej grupy dziś (2011 r.) żyje tylko Amalia.

W tle widoczny budynek szkoły i komin browaru.

Jedną z najważniejszych spraw stało się zapobieganie szabrownictwu. Nie było to zadanie łatwe. Całe tabuny szabrowników i poszukiwaczy skarbów przeszukiwały i przekopywały wszystkie interesujące miejsca. Wiele wartościowych rzeczy, czy maszyn nie udało się przed tą plagą uratować. System był prosty. Należało zdemontować wartościowy obiekt, często przy pomocy tymczasowych „mieszkańców” a następnie „załatwić” transport do „centrali”, jak nazywano centralną Polskę.

Wielu z biorących w tym udział nie wierzyło, że zostaniemy tu na dłużej, inni niejako odkuwali się za to, że w czasie wojny Niemcy im wszystko zabrali, czy zburzyli. Jechały więc maszyny rolnicze, młockarnie, wyposażenie kościołów i inne wartościowe rzeczy, w tym wiele skarbów kultury, które były nierozłączną częścią tej ziemi. Osadnicy z kolei bronili dobytku wsi, wyposażen restauracji, hoteli, kościołów i młynów. Dzięki takiej czujności, w naszej wsi udało się uratować przed wywózką organy kościelne, które do dziś nam służą. Mój dobry znajomy, Niemiec, opowiadał mi jak pod koniec 1945 r. w pałacu (dziś Hotel Staniszów) podłoga była zaścielona do wysokości kolan bardzo starymi, oprawionymi w skórę księgami i woluminami, które później systematycznie zniknęły. To, że leżały na podłodze, to wynik pierwszego przeszukania przez Rosjan. Po prostu zabierano tylko rzeczy najcenniejsze. Gdzieś w niemieckiej gazecie czytałem kiedyś relację jednego z byłych mieszkańców, jak to przez dwa dni, wraz z innymi mężczyznami zatrudniony był przez Rosjan przy wynoszeniu skrzyń ze schowka w piwnicy, w pałacu w górnym Staniszowie. Nie zwróciłem wtedy szczególnej uwagi na te, zdawało mi się wówczas urojone przeżycia sfrustrowanego autochtona. Wiele lat później okazało się że taki fakt miał miejsce i był poprzedzony kilkudniową, dokładną penetracją Rosjan, polegającą głównie na rozwalaniu wszystkich podejrzanych ścian.



Rok 1952.

Walka o wykonanie planu 6 –letniego. „Walczą”, między innymi moi dwaj wujowie, Roman Roszczybiuk (ten najwyższy pod plakatem) i Jan Nowak (bokiem na pierwszym planie). Jest bardzo możliwe, że ktoś rozpozna swoich bliskich.

Fotografia zrobiona we wnętrzu sali balowej „Pod Filarami”(nr 68).

Z tym wszystkim musieli borykać się pierwsi osadnicy. Bardzo ważna była przy tym praca w nowopowstających zakładach pracy (oczywiście w Jeleniej Górze) oraz uprawa roli. Z tym ostatnim zajęciem wcale nie było na początku tak łatwo, jak moglibyśmy dziś sądzić. Wielu przymusowych przesiedleńców z obecnie byłych już terenów wschodniej Polski nie było przygotowanych do uprawy ubogiej, podgórskiej ziemi w surowym, górskim klimacie. Wiele można by opowiadać o zbożu które potrafiło „wybujać” aż prawie do kolan. Sytuacji nie poprawiały obowiązkowe dostawy żywności, po bardzo zaniżonej, państwowej cenie. Ponieważ jednak ojczyzna „hojną ręką” rozdała ludziom, tę świeżo „wyzwoloną” ziemię, każdy był zobowiązany do odprowadzania tzw. „kontyngentu”, w różnej formie - w mięsie, zbożu, drobiu czy mleku.



Staniszowski zespół taneczny. Około 1950 r. Wielu rozpozna tu swoich rodziców, lub dziadków. Za informacje będę wdzięczny. Moja mama, Wanda – 1 rząd, 2 z prawej.

Zasadniczym problemem w integracji wsi była także jej skomplikowana struktura etniczna. Musimy wiedzieć, że składali się na nią i dawni, przedwojenni mieszkańcy, którzy uzyskali zezwolenie na pozostanie, często okupione zmianą nazwiska, do tego repatrianci „zza Buga”, osadnicy z centralnej Polski i z wielu innych jej zakątków a także osadnicy wojskowi. W takiej społeczności trudno o idealną współpracę i zaufanie. Przeważnie było tak, że razem trzymali się ci, którzy znali się już przed wojną lub ci pochodzący z tego samego regionu. Sytuacji wcale nie polepszała mnogość wszelkiego rodzaju szpiegów, agentów i tajnych współpracowników.

Ludzie mówili o sobie niewiele. O tym, że wśród mieszkańców Staniszowa były także osoby pieczętujące się herbem szlacheckim dowiadywaliśmy się najczęściej dopiero po ich śmierci. Poza tym Staniszów „od zawsze” leżał w „strefie przygranicznej” a to przez długi czas poważnie komplikowało życie jego mieszkańcom.

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte to zdecydowany rozwój wsi. To, mówiąc kolokwialnie setki, czy tysiące litrów potu wylanego na tę ziemię przez naszych dziadków, bądź rodziców.

Chciałbym tu napisać, że wiem jak działała po wojnie szkoła, jak zakładano PGR, jak organizowano pierwszą powojenną parafię. Chciałbym ale nie napiszę, bowiem pomimo, że żyłem w tych czasach, to te informacje są niepełne i mgliste. Brak jest ważnych dat i nazwisk. Ponieważ jednak jesteśmy kolejnym pokoleniem, które tu chce żyć, myślę, że warto te fakty spisać, by nasi następcy mieli poczucie ciągłości naszej tu obecności.



Widok Staniszowa z Witoszy. Archiwalna widokówka z 1898 r.

Stąd apel do wszystkich, którzy mają ochotę nam pomóc. Przekazujcie nam historie z życia Waszych bliskich, tych którzy tu pracowali i tu żyli. Mogą to być historie już spisane, bądź przekazywane ustnie członkom naszego stowarzyszenia. Możecie podpisywać je swoim nazwiskiem, możemy także zagwarantować anonimowość. Prosimy tych, którzy znają ważne, z punktu widzenia naszej społeczności, fakty i daty, o ich udostępnienie. Spełnimy każde warunki postawione przez „informatora”. Wszystkie uzyskane w ten sposób informacje zostaną przetworzone i będą sukcesywnie zamieszczane na naszym portalu. Niezwykle ważne są stare fotografie, które bez uszczerbku dla oryginału zostaną przetworzone elektronicznie, a na życzenie „okrojone” z krępujących elementów. Chodzi przede wszystkim o fotografie budowli i obiektów infrastruktury staniszowskiej oraz budynków których już nie ma. A może macie w domu zdjęcie z ważnej dla Staniszowa uroczystości? Może była to wizyta biskupa lub zakończenie roku szkolnego? Wszystko jest ważne. Zdjęcia zostaną opisane i umieszczone w archiwum naszego stowarzyszenia, które chcemy na naszej stronie uruchomić. Nie chce się wierzyć, ale brak jest powojennych zdjęć kościoła, placu kościelnego, wieży triangulacyjnej na „Bismarcku”, restauracji „Szarotka”, kapliczki i obu pałaców. Nawet archiwalne zdjęcia starych szop i stodół są ciekawe gdyż stanowią już historię.

W naszej wsi buduje się coraz więcej nowych domów. To dobrze świadczy o rozwoju miejscowości. Coraz więcej nowych osadników twierdzi, że to jest dobre miejsce na spędzenie, przynajmniej części swojego życia. Oni również chcieliby poznać historię tego zakątka Karkonoszy.

Myślę, że wspólnymi siłami ułatwimy im to.

Marek Hachulski

25 stycznia 2011 r.